ROZMAITOŚCI.

Dnia 22 listopada, Nr. 47. roku 1845.

Opustoszały park.

(Ciąg dalszy.)

Pożegnawszy Williama, powróciła Klotylda do zamku, a młody ogrodnik udał się w głębszą część parku dla doglądnienia tam naprawy około jednego z budynków zwierzyńcowych. Przez tę część parku wiła się wązka drożyna, na którą oprócz Williama, jednemu tylko Tomaszowi Burnes przystęp był dozwolony. Wiodła ona bowiem w prostym kierunku do jego wioski, podczas gdy zwykły gościniec dalekie koło opisywał. Ztąd otrzymał sir Tomasz wyjątkowe pozwolenie jeżdżenia przez tę część parku, gdzie zresztą samemu nawet ogrodnikowi, nie wolno było żadnych zmian zaprowadzać. Jedynie nieodzowna konieczność zniewoliła lorda T. do zezwolenia na naprawę wspomnionego budynku. Wszystko téż w téj stronie ogrodu było zapuszczone i dzikie, a złodzieje zwierzyny zakradali się tu bezkarnie, wiedząc dobrze iż ich nikt nie dostrzeże. Zdarzało się nawet niekiedy, że ścigane przez policyję włóczęgi, bezpieczne schronienie tam znajdywały.

Idąc w tę stronę ogrodu, zabrał William z sobą po drodze dwóch robotników, i wzięto się żywo do pracy, gdy razem dał się słyszeć tętent konia na samotnéj drożynie, i wkrótce sir Tomasz Burnes się okazał. Byłto mężczyzna średniego wieku, ostrych, niemiłych rysów twarzy. Nadjechawszy bliżéj, zatrzymał się, i zaczął z szyderczym uśmiéchem przypatrywać się robocie. William i robotnicy pokłonili mu się z uszanowaniem, na co on ledwie lekkiém skinieniem głowy odpowiedział.

»Naprawiacie tę starą szopę?« zawołał z konia. »Ot szkoda pracy! Nie wiele tam podobno paszy dla źwiérząt wnijdzie; więcéj wam jéj zapewne wnijdzie gotówką do kieszeni.«

Chociaż to żartem tylko być miało, przecież byłto żart gruby i obruszył żywo Williama, przeco odpowiedział z oburzeniem:

»Masz pan wiedzieć, iżto ja za to odpowiadam, aby przeznaczona dla źwiérzyny pasza regularnie ją dochodziła; a dotąd nikt jeszcze o mojéj rzetelności wątpić nie śmiał.«

»Doprawdy?« zawołał sir Thomas ironicznie. »Niechże cię, jak Szekspir mówi, pan Bóg z twoją rzetelnością ma w swéj opiece.«

Po tych słowach zaśmiał się głośno i odjechał.

»Gbur!« mruknął William. »Jemu gadać o cudzéj źwiérzynie! gdy jego własna omal z głodu nie zdycha. Wierutny sknéra, żałuje sobie nawet masztalérza, któryby za nim jechał. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby mu kiedyś przy jego napastniczéj naturze, jaki przypadek w drodze się wydarzył. Bo jest wiele ludzi, którzy z całéj duszy go nienawidzą.«

»I wy téż, panie Williamie,« — przejął jeden z robotników ze śmiéchem — »nie bardzo go, jak się zdaje, lubicie.«

»Nie ciérpię go!« rzekł William, przejęty jeszcze niechęcią, jaką go poprzednie zwierzenie się Klotyldy przejęło. — »Nie ciérpię go!« powtórzył. »Jestto zły człowiek, który wszystko i wszystkich gani,

upadla, oczernia. Strzeż go Boże! Nie życzyłbym mu wcale, zaczynać ze mną!«

»Ej, dajcie pokój;« — ozwał się drugi robotnik w żarcie — »może on jeszcze kiedyś naszym panem zostanie; wszak mówią że o naszę pannę się stara.«

»Wolno mu; moim panem on nie będzie, za to ręczę;« — rzekł William żywo— »a co do jego zalotów, to jeszcze na dwoje wróżba. Ale ot, Jakóbie, zdaje mi się że ta drabina zanadto słabo jest przywiązana. Jelenie oderwą ją rogami. Oderznijcie więc kilka wierzbowych gałęzi i ukręćcie nowy, mocniejszy powróz.«

»Dobrze;« odrzekł zagadniony robotnik, szukając noża po kieszeniach. »Macież teraz! Zapomniałem wziąć nóż z sobą.«

»Oto jest mój;« ozwał się William, dobywając z-za pasa duży ogrodniczy nóż z ozdobną rękojecią, w ładnéj, skórzanéj pochwie.

»Daj go katu!« zawołał Jakób. »To mi nóż nielada — bardzo piękny!«

»Mam go w darze od mego majstra;« — rzekł William. »Jest on zarówno przydatny do ogrodnictwa, jak i do polowania, i może nawet w przypadku za broń posłużyć. Odkiedy złodzieje źwierzyny znów się tędy włóczyć zaczęli, zaglądam niekiedy w nocy do parku, a w takim razie dobrze jest mieć coś obronnego w ręce.«

Długo jeszcze tak rozmawiali, aż wreszcie skończywszy pracę, rozeszli się do domu. William udał się ku zamkowi. Tam spotkał się z panem Burnes, który w niejakiém oburzeniu z zamku wychodził. Nie widząc żadnego ze stajennych, obrócił się do młodego ogrodnika i kazał mu sobie konia wyprowadzić.«

To żądanie oburzyło Williama do żywego. »Cóżto,« — odparł z stłumionym gniewem — »czyto ja pański stajenny? Jeźli nie ma żadnego w poblizkości, tedy zaczekaj pan, aż który z nich nadejdzie.«

»Ho — ho!« zawołał sir Thomas, przystępując do rozgniewanego młodzieńca. »Za cóżto się masz, bratku?«

»Za coś lepszego w istocie, niż abym panu miał być prostym służalcem!« odrzekł William z pogardą.

»Jakto!« krzyknął Burnes w złości. »Ty— ty — służalec lorda, śmiész mnie, jego przyjacielowi, grubiaństwa prawić!«

»Jestem w służbie a nie służalcem lorda,« — odrzekł William spokojnie — »a jeźli sir Thomas Burnes jest przyjacielem jego, témci gorzéj dla mego pana.«

»Łotrze!« wrzasnął Burnes przyskakując z podniesionym szpicrutem do Williama.

»Strzeż się pan!« zawołał tenże z piorunującém spojrzeniem, chwytając rękojęć noża. »Tylko mnie się dotknij — a zginąłeś!«

Słowa, wzrok i postawa młodziana, były tak groźne, iż Burnes przestraszony wstecz odstąpił, i szpicrut ku ziemi spuścił. Tymczasem nadbiegł jeden ze stajennych i wyprowadził konia. Sir Thomas dosiadł go czémprędzéj, i wykrzyknąwszy z jadowitą złością: »Poczekaj! Popamiętasz ty mnie!« wyleciał wichrem z podwórza.

»No, ten was pięknie przed lordem omaluje;« — ozwał się stajenny do Williama — »gotów was jeszcze służby pozbawić.«

»Mniejsza o to!« rzekł William, pałając jeszcze gniewem. »I tak mnie tu już nie długo. Szkoda tylko, żem mu szpicrutu nie wyrwał, i dobrze go nim nie strzepał. Ale może jeszcze kiedyś się obliczymy.« —

Tegoż samego dnia wieczorem był William do lorda T. wezwanym. Ojciec Klotyldy siedział jak zwykle w swoim niebieskim pokoiku i trzymał rozpieczętowany list w ręku.

»Przystąp bliżéj, Williamie;« — rzekł ponuro do młodzieńca, który u progu się zatrzymał.

Młodzieniec zbliżył się z ukłonem do lorda, i oczekiwał spokojnie, co mu powié.

Lord zmierzył go ponuro długiém spojrzeniem, a potém rzekł: »Widywałeś się często z moją córką, i często z nią rozmawiałeś. Radbym wiedzieć, o czém téż tam zwyczajna mowa była?«

»Po większéj części o kwiatach i ogrodnictwie, lecz także i o rozmaitych przedmiotach;« odpowiedział William otwarcie.

»Mówiłaż mu córka moja, iż ją za mąż wydać zamyślam?«

»Tak jest, milordzie. Panna Klotylda raczyła wspomnieć mi o tém.«

»I cóż tedy mówiła?«

»Że nie kocha tego, za kogo iść ma.«

»A cóż jéj odpowiedziałeś?«

»Odpowiedziałem, że jeźli już kto inny przywiązania jéj nie pozyskał, najlepiéjby uczyniła, gdyby ów wstręt przemogła; w piérwszym razie zaś, należałoby odkryć swoje serce waszéj lordowskiéj mości, i czekać jego wyroku.«

»A wiészże,« — odrzekł lord groźnym tonem — »coś był powinien odpowiedzieć méj córce? Oto powinieneś był rzéc do niéj, iż jesteś moim ogrodnikiem, moim sługą, i nie godzi ci się dawać zdania w podobnych sprawach.«

»Przebaczenia, milordzie, jeźli zbłądziłem;« — ozwał się William nieco zmieszany — »lecz sądziłem iżby to *miss* Klotyldę bolało, gdybym jéj był nie odpowiedział na jéj zapytanie. Była ona zawsze łaskawą i grzeczną dla mnie.«

»Zanadto łaskawą i grzeczną;« — przejął lord sucho — »taka grzeczność zwykle na złe wychodzi. Jakoż zdajesz mi się zbyt zarozumiałym o sobie. Patrz co tu sir Thomas pisze.«

William przeczytał z oburzeniem oskarzenie, lecz stłumiwszy gniew w sobie, opowiedział dokładnie całe zajście z panem Burnes, i odwołał się do robotników i stajennego, jako świadków, iż pan Burnes go znieważył.

»Gdyby nawet i tak było, jak mówisz,« — odrzekł lord w końcu — »zawsze przecież na to wychodzi, iż nie wypada, abym zatrzymał dłużéj w służbie człowieka, który w moje familijne sprawy się miesza, i z sąsiadami mię waśni. Oto jest reszta, co się mu aż do upływu kontraktu należy. Możesz za tydzień być od służby wolny. Aż potąd znajdę sobie innego człowieka, któremu wszystko powierzone oddasz.«

Ta niesprawiedliwa odprawa oburzyła Williama w głębi duszy. Nie mogąc się jednak sprzeciwić lordowi, przytłumił gniew swój, skłonił się i przyjął podany sobie banknot. Na wychodném zatrzymał go lord T., jakby sobie coś przypomniał, i rzekł:

»Zdaje mi się, iż masz zamiar udania się do Francyi dla wyższego kształcenia się w swoim zawodzie. Otóż sądzę, żebyś lepiéj uczynił, gdybyś jeszcze ze dwa lata w Anglii pozostał, i tu się doskonalił. Jeźli przyrzekniesz, że mię posłuchasz, i w Szkocyi daléj kształcić się będziesz, wyznaczam ci 100 funtów, jako zasiłek w tym celu.«

To mówiąc, podał mu lord T. banknot wymienionéj wartości, wszakże z tak wzgardliwém lekceważeniem, iż łatwo było poznać, że to nie udział w losie młodzieńca, lecz jakiś inny powód do tego czynu go skłaniał. Ztądtéż podziękował William za tak dwuznaczną łaskę, i nie przyjąwszy banknotu, oświadczył iż na każdy wypadek nie prędzéj jak po kilku latach na stały ląd odjedzie. Poczém rzucił lord niechętnie pulares z pieniędzmi na stół, i skinął na Williama, aby odszedł.

Ten osobliwszy postępek lorda zdziwił mocno Williama. Naprzód go lord odprawił, a potém chciał go wesprzéć. Jakże te dwie sprzeczności pogodzić? Totéż ani William wytłumaczyć ich sobie nie mógł, ani przez całe trzy dni następne nic się nie zdarzyło, coby mu tę zagadkę rozwiązało. Tymczasem młody ogrodnik przygotował wszystko do oddania swemu spodziéwanemu następcy. Przez ten cały czas nie wyszła Klotylda ani razu do ogrodu. Byłoto oczywistym skutkiem rozkazów lorda. Jakkolwiek młodzieniec wiele na tém ciérpiał, iż nie miał widziéć więcéj dziéwczyny, o któréj przywiązaniu do niego żadnéj już nie pozostawało wątpliwości, wszelako pocieszał się przynajmniéj tą myślą, iż nie będzie musiał żegnać się boleśnie z istotą, która mu niewymownie drogą się stała, a o któréj posiadaniu nigdy ani pomyślić nie mógł. Dnia czwartego pod wieczór, odprawiając robotników, zapowiedział im William na jutro robotę około płotu w owéj niedostępnéj części parku, dokąd, jak się wyraził, dziś jeszcze sam się uda, aby obaczyć, jakiego tam materyjału do naprawy potrzeba będzie. W téj chwili nadjechał sir Thomas Burnes, i uśmié-

chając się złośliwie, ozwał się do Williama:

»No, pozajutro przybędzie nowy ogrodnik, a następującego dnia oddasz mu w mojéj obecności, jak sobie tego lord życzy, cały inwentarz ogrodowy. Do zobaczenia.«

»Miejcieże się na baczności;« — rzekł jeden z robotników po oddaleniu się Burnesa — »to niedobry człowiek, a przytém ma złość na was: będzie on wam dokuczał!«

»Nie bardzo ja go się boję;« — odpowiedział William spokojnie — »mnie on wiele nie zaszkodzi; raczéj mogłoby się zdarzyć przeciwnie. Podjął on się zlecenia, które, Bóg wié, czy mu na dobre wyjdzie.«

»No — no,« — rzekł uspakajając robotnik — »nie dajcie się przecież unieść zawziętością, i nie popełńcie czegoś, coby wam samym, panie Williamie, zaszkodzić mogło.«

»Pokaże się!« odrzekł William. »To jednak pewna, że drugi raz on takiéj sprawy się nie podéjmie.«

Gdy się już zmiérzchło, weszła stara klucznica do pokoju Williama. Byłato, jak wiémy, zgrzybiała, wpół głucha, i wpół ciemna staruszka, która jedynie dziwactwu lorda podziękować miała, iż jéj dotąd nie oddalono.

»Ach, panie Williamie, panie Williamie!« zawołała szepleniącym głosem. »Co się tu stało! Co się tu stało! Och, gdybyś pan wiedział!«

»Przez Boga! Cóż takiego?« zawołał młodzieniec przestraszony. »No mówcież, cóż się tam dzieje?«

»Złodzieje?« powtórzyła głucha staruszka. »Gdzie tam złodzieje! To lord po zamku się rozbija, a krzyczy, a gniewa się, a biédna panna Klotylda płacze a płacze.«

»I czegoż, matko Barbaro, czego?« krzyknął jéj William w ucho.

»Ba! Czego?! To tylko Bóg święty wié!« odrzekła stara. »Wciąż tylko »Szaleństwo!« woła — »Szaleństwo! Hańba!« a wrzeszczy, aż szyby brzęczą, i gdybym się była tylko nie bała przyjść bliżéj, byłabym wszystko słyszała.«

»A panna Klotylda,« — spytał William — »nicże wam o tém nie powiedziała?«

»Gdzie się podziała? Siedzi zamknięta w swoim pokoju; a jutro, skoro świt, musi precz, aż gdzieś do francuzkiego kraju.«

»Do Paryża?« zagadnął William.

»To — to! Do Paryża! Zkądto ów Francuz, ów krzywy Jean był, coto milady z nim uciekła. Wszak pamiętacie.«

»Ja mam pamiętać, matko Barbaro?« odrzekł William z uśmiéchem. »Wszak to już ze dwadzieścia lat temu, a ja wtedy ledwie na świecie byłem.«

»Być może;« — rzekła staruszka zamyślona — »bo ja pana zawsze za tego dawnego mam ogrodnika, coto był także młody, a miał także zieloną kurtkę z żółtémi guzikami. — Ale po co téż ja tu właściwie przyszłam? — Aha, przypominam sobie! Panna Klotylda coś mi panu powiedziéć kazała.«

»Cóż? Mówcież prędko!«

»Ba, kiedym zapomniała!«

»To czemużeście sobie nie kazali napisać?« krzyknął William, uniesiony niecierpliwością i gniewem.

»Tak, tak, dobrze mówicie;« — ozwała się staruszka — »napisała, napisała całą karteczkę i wam ją oddać kazała. Jeźlim jéj tylko nie zgubiła.«

Po długiém szukaniu i wytrząsaniu wszystkich kieszeni, wyszedł wreszcie maleńki, opieczętowany bilecik na jaw. William pochwycił go w największéj niespokojności, i widząc, że staruszka wygodnie na krzesło sobie usiadła, a niechcąc w jéj niemiłéj obecności tak drogiego skarbu otwiérać, wybiegł czémprędzéj z pokoju, aby przy jakiéj ustronnéj lampie, słowa ukochanéj ręki odczytać.

Gdy do pokoju powrócił, staruszka już była bez odpowiedzi odeszła. Lecz to go wcale nie rozgniewało. Zdawał się owszem być żywo uradowanym, i przechadzał się niespokojnie po pokoju, jakby w jakiémś półradośném, półtrwożném oczekiwaniu. Potém zapalił świécę i odczytał jeszcze raz i jeszcze raz ów bilecik. Tymczasem uderzyła dziesiąta. Niespokojność Williama stawała się co chwila gwałtowniejszą.

Biegał jeszcze prędzéj po izbie, a wreszcie zatrzymał się i postawił świécę na oknie. W oka mgnieniu zabłysła inna podobnaż świéca w jedném z przeciwległych okien zamkowych......

Nazajutrz rano była cała okolica w rozruchu. Posłańcy na koniach krzyżowali się we wszystkich kierunkach około zamku lorda T. Wreszcie nadjechało kilka powozów z lekarzami i publicznémi urzędnikami. W kilka godzin przed tym rozruchem znaleziono pana Tomasza Burnes w opustoszałéj części parku, zabitego dwoma pchnięciami noża.

Skoro tylko trupa do zamku zaniesiono, wyruszyła cała prawie ludność z sąsiedztwa na miejsce popełnionéj zbrodni. Miejscem tém był ciemny zakąt w pobliżu owego płotu, który podług rozporządzenia Williama, miał być nazajutrz naprawianym. Chociaż grunt był twardy, widać było przecież świéże ślady konia w téj stronie, widać było gdzie koń przez mordercę swego pana przytrzymanym został, a wreszcie, którędy, pozbywszy jeźdźca, sam do domu wrócił. Taż ostatnia okoliczność spowodowała domowników pana Burnes do szukania go w okolicy, a wiedząc iż do zamku lorda T. pojechał, udali się tamże zwykłą drożyną i znaleźli wnet trupa. Zabójstwo to sprawiło tém większe wrażenie, iż nieboszczyka bynajmniéj nie zrabowano. Zégarek, sakiewka, brylantowy pierścień na palcu — wszystko było nietknięte. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa został pan Burnes znienacka napadnięty i skrytobójczo zamordowany, gdyż nie było najmniejszego śladu mocowania się i walki. To zaś naprowadzało na domysł, iż zabójca dokładnie z miejscowością był obeznany. Piérwsze pchnięcie skaléczyło tylko jedno z żeber po lewéj stronie; drugie przeszło na wskróś przez serce i w oka mgnieniu śmierć zadało. —

Klotylda odjechała była jeszcze przed świtem. Pan Nicholas Reid miał ją w pobliskiém miasteczku oczekiwać. Jakoż zjechał się z nią w istocie o wyznaczonym czasie, a ztamtąd udali się oboje w dalszą podróż, zanim jeszcze wiadomość o śmierci pana Burnes dojść ich mogła.

W tym właśnie czasie, gdy lekarze z urzędnikami ciało zabitego oglądali, siedział William samotny w pobliżu oranżeryi, i zdawał się być głęboko zadumanym. Ztąd nie postrzegł nawet robotnika, który z boku ku niemu nadszedł; a gdy tenże ku niemu się zbliżył, zerwał się William nagle, jakby przestraszony.

»Ów płot, około którego zabójstwo popełnionem zostało,« — ozwał się robotnik — »nie może teraz być naprawianym, jak to panu wiadomo. Cóż mi pan natomiast robić każesz?«

»Możecie tymczasem obcinać szczepy;« odrzekł William.

»Do tego trzeba ostrego noża, a mój tępy. Czy nie moglibyście mi swego pożyczyć?«

»Gdzieś mi się zatrącił;« — odpowié William — »zapewnie go wczoraj tam przy owym budynku zostawiłem.«

»A toż co?« zapytał znowu robotnik wskazując na rękaw Williama. »Macie tu jakieś krwawe plamy na rękawie. Czyście się skaléczyli?«

»Krwawe plamy?..« powtórzył William roztargniony. »A, prawda; szła mi dziś w nocy krew z nosa.«

»Jakto, w nocy? Toście się przez całą noc nie rozbiérali?« zapytał robotnik zadziwiony.

»To nie;« — odrzekł William w coraz widoczniejszém zmięszaniu — »dla czegoż miałbym kłaść się w sukniach do łóżka? — Chodziłem długo w nocy po parku.— Było mi nie dobrze i poszedłem na świéże powietrze, a potém zaczęła mi iść krew z nosa. Ztądto zapewne wzięły się te plamy.«

»Byliście słabi, jak mówicie? Wy coś i teraz nie zdrowi. Wyglądacie blado i niewyspano, jakbyście całą noc na hulance spędzili, lub jakby wam się coś niedobrego stało. Ale to zapewne widok tego zabitego Burnesa tak przykre na was sprawił wrażenie. Bo téż ten Burnes i za życia nie bardzo miło wyglądał, a widok jego trupa, wcale zgrozą przejmuje. Coby to téż na jego mordercy za wrażenie

sprawiło, gdyby to straszne, skrwawione ciało obaczył. Nie chciałbym na jego być miejscu. Zwłaszcza iż takie zbrodnie rzadko kiedy się ukrywają.«

»Toż sądzisz, że morderca odkrytym zostanie?« spytał William zmieszany.

»Ha, któż to może wiedzieć;« — odrzekł robotnik z widocznem zadziwieniem — »należy się spodziewać iż winowajca kary nie ujdzie. — Ale ponieważ wy, panie Williamie, noża swego przy sobie nie macie, tedy czémprędzéj po mój własny pobiegnę, i wezmę się do roboty.«

Po oddaleniu się robotnika powstał William w niespokojności, i miotany myślami, nie zważając na krętą ścieżkę, udał się wprost przez krzaki szybkim krokiem ku stronie parku, w któréj zabójstwo popełnionem zostało. Zpędził tak może z godzinę w téj niespokojnéj przechadzce, i wracał już widocznie znużony do domu, gdy u progu swego mieszkania zastał jakiegoś nieznajomego człowieka. Właśnie gdy go miał spytać: kogo tu szuka? rzekł nieznajomy: czy on jest ogrodnik William Todd? Na potwierdzenie młodzieńca, dobył nieznajomy lewą ręką z zanadrza małéj, białéj laseczki, ozdobionéj koroną i cyfrą imienia królewskiego, położył prawą rękę na ramieniu Williama, i rzekł poważnym głosem:

»W imieniu króla, Williamie Todd, jesteś aresztowany z powodu podejrzenia o zabójstwo, popełnione na Tomaszu Burnes, *esquire,* z —house.«

Te słowa były gromem dla Williama. Pobladł jak trup. Każda kropla krwi skrzepła mu w twarzy. Wkońcu ozwał się z zająknieniem, ledwie przytomny: »Co? ja? morderca? — Wielki Boże!« — i drżący na całém ciele, udał się za konstablem ku powozowi, który w kilka minut uwiózł obudwóch gościńcem ku miastu Lancaster.

Rzadko kiedy sprawiło zabójstwo w tych stronach Anglii tak nadzwyczajne wrażenie, jakto się w obecnym razie zdarzyło. Chociaż się prawie jednogłośnie na to zgadzano, iż sir Thomas Burnes nie był wcale człowiekiem nieposzlakowanéj sławy i wielu miał nieprzyjaciół, przecież tak dla swego majątku, jakotéż dla swego spokrewnienia z wielą możnémi rodzinami, posiadał on niejakie znaczenie w okolicy i był nawet przed laty sędzią pokoju. Jeszcze bardziéj powiększyło się to wrażenie, gdy w publicznych dziennikach o mniemanego zabójcę wszczęła się żywa utarczka. Jedni twierdzili iżto nikt inny być nie może, jak młody ogrodnik William Todd, który podług zeznania tych wszystkich którzy go znali, porywczego i gwałtownego był charakteru, i od dawna z panem Burnes żył w niezgodzie, a nawet kilkokrotnie zapalczywie przeciw niemu się odgrażał. Inni utrzymywali, iż William wprawdzie żywym odznacza się charakterem, i że jest w swoich wyobrażeniach o honorze, łatwym do uniesienia się, wszakże nie przyszło dotąd nikomu jeszcze na myśl, wątpić o jego prawości i obyczajach, o których powszechnie najchlubniejsze panuje zdanie, — a przeto téż nie można nawet przypuszczać, aby tak okropnéj zbrodni był zdolny.

Najbardziéj jednak uderzyło wszystkich publiczne oświadczenie byłego majstra Williamowego, jakotéż jego czcigodnego starego ojca. Obaj oświadczyli swoje najgłębsze przekonanie, iż znając charakter i sposób myślenia Williama, niepodobieństwem jest posądzać go o zabójstwo z namysłu popełnione, i prosili oraz publiczność, aby przedwcześnie wyroku nie wydawała, gdyż niewinność Williama niechybnie na jaw wyjdzie.

Po tych, jakotéż wielu innych najzaszczytniejszych dla Williama świadectwach i oświadczeniach, które już znaczną część publiczności na jego stronę skłoniły, zdziwiono się powszechnie, gdy się rozeszła pogłoska, że tak zwany wielki sąd przysięgłych, poprzedzający w Anglii ostatnią instancyję małéj stanowczéj *jury* zaraz po swojém zgromadzeniu, Williama Todd dostatecznie podejrzanym uznał, aby z powodu popełnionego na Tomaszu Burnes zabójstwa, do śledztwa był pociągnietym. Teraz zaczęły nawet przychylne Williamowi dzienniki po większéj części umilkać, podczas gdy pisma przeciwstronne coraz śmieléj

głosiły, iż nie ma najmniejszéj co do winy oskarżonego wątpliwości, lecz owszem najrzeczywistsze są dowody, pomiędzy któremi samo narzędzie zadanéj śmierci, najjawniéj rzecz poświadcza. Chociaż dawny majster Williama powtórne oświadczenie ogłosił, w którem równie dobitnie jak w poprzedniem za niewinnością swego ucznia obstawał, nie dała się opinia publiczna przyjaźniéj dla młodego ogrodnika usposobić, i tylko tém niecierpliwiéj rozpoczęcia sądu przysięgłych wyglądała.

Dla nieprzewidzianych wypadków odwlóczyło się zgromadzenie tegoż sądu, a tymczasem zdarzyła się okoliczność, która, jak mniemano, niepomyślnie na wyjaśnienie téj sprawy wpłynąć mogła. Lord T. i stara klucznica pomarli oboje w krótkim czasie. Byliby onipowołani byli za świadków, i wiele okoliczności wyjaśnili, gdyż zależało nie tylko na tem, aby wiedzieć, o jakim czasie Burnes owego nieszczęsnego wieczora od lorda wyszedł, lecz także, czy on o swoim stosunku z Williamem, i o drodze, którą do domu miał powracać, nie wspomniał — tudzież czy lord na użalenie się Burnesa, Williamowi wyrzutów o to w jego obecności nie czynił? Jakoż w ogólności mniemano, iż lord byłby mógł dostarczyć wiele objaśnień względem stosunków zachodzących między zabitym a jego mordercą, któreby całą sprawę niemało były rozświeciły. Wszakże te wszystkie domniemania zostały śmiercią lorda T. zniweczone.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 46ty i zawiéra: 1) O sposobie podniesienia żyzności w gruntach piasczystych. 2) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu; przez Józefa Żywickiego. Ciąg dalszy. 3) Uwaga redakcyi nad artykułem o tegorocznych zbiorach u nas. 4) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 24ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) To już ostatnie moje szaleństwo. Dokończenie. 2) Uwagi nad moralnemi chorobami, przez Zygmunta Kaczkowskiego.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc listopad zawiéra: 1) O podskarbich wielkich, ich obowiązkach i podwładnych, aż do r. 1764, przez K. Larisch. 2) Zbrodniarz przez stracony honor. Z Szyllera przeł. J. Dziekoński. 3) O potrzebie chemicznego badania materyjałów surowych, mianowicie gruntów, przez S. Zdzitowieckiego. 4) Pieczęć majestatyczna i dyplomat Przemysława, króla polskiego, z r. 1295, przez J. Zagórskiego. 5) Poezyje. Świętości, przez A. C. 6) Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego 18:5 r., przez F. Miaskowskiego. Ciąg dalszy. 7) O Świętym Wicie i Swiatowicie, przez J. Mętlewicza. 8) Kronika literacka. 9) Rozmaitości. 10) Kronika zagraniczna — biblijografija. — Wiadomości literackie.

Tajemnica dzisiejszego wychowania panieńskiego. W jednem z najnowszych dzieł o edukacyi czytamy: Skoro panienka w progi zakładu wychowawczego wstąpi, nabijają jéj uszy, głowę i serce pewném czarodziejskiém słowem, mającém być jéj religiją, mądrością i sumieniem. W tém słowie zawiera się cała treść jéj przyszłości, spoczywa dusza ziemskiego jéj przeznaczenia; tém słowem — przyzwoitość. Pod tą przyzwoitością zaś rozumie się na pensyi sztuka: udawać podług pewnych, surowych przepisów to, czém się nie jest, a być tém, czém się być nie zdajemy. Podług tych przepisów powinno jasne źwierciadło oblicza odbijać przewrotnie uczucia i podniety serca. Panienka powinna uprzejmie się uśmiéchać, gdy się złości, a krzywić, gdy się w duszy raduje. Ma ona podług pewnego naprzód ułożonego systemu spuszczać oczy, a podług innéj metody umieć płonić się, skoro zechce. Musi ona zapomnieć mowę swoich ojców i swego serca, a przyzwyczajać się w obcym języku obce odtętniać uczucia. Musi ona muzykalnie kichać, i podług taktu ronić westchnienia. Jako wesoły swobodny motylek wchodzi ona na pensyję, a nie skończy wprzód edukacyi, aż pokąd się z niéj martwa nie zrobi lalka.

Wyleczenie epilepsyi. Pisma niemieckie donoszą: »Jestto niemałą naszych czasów pociechą, że teraz wszystkie umiejętności głównie ku uśmierzeniu cierpień ludzkich są skierowane; i wielkiéj godzien jest chwały, kto całą swoję usilność ku temu celowi zwraca, a wszelkim osobistym zyskiem pogardza. Komuż nie znane okropne symptomata epilepsyi, któż nie litował się w głębi duszy nad nieszczęśliwymi, którzy na tę chorobę cierpią! Ważność tego przedmiotu jest tak wielka, iż nie możemy ominąć, abyśmy nie zwrócili uwagi cierpiącéj ludzkości na długoletnie, niezmordowane starania męża, który łącząc zawód lekarza z obowiązkami duchownego pasterza, zdołał wielką liczbę epileptycznych chorych, radykalnie wyleczyć. Jestto przewielebny ksiądz Józef Saffran, w St. Pongraz-in-Greis, w państwie Neu-Cilli w Niższéj Styryi, mąż, godny zarówno uwielbienia, jak i bezinteresowny, którego dobroć serca, wszystkich co go mieli sposobność poznać, niewymowną rozkoszą napełnia, sługa boży, w prawdziwem słowa tego znaczeniu. Tenże obrał sobie leczenie epileptycznych za główne, każdego chrześcijańskiego pastérza ze wszech miar godne, bezinteresowne zadanie swego życia, i wynalazłszy szczęśliwy środek leczenia téj choroby, uzyskał na mocy dekretu wys. ces. kr. kancelaryi nadwornéj, z dnia 12go czerwca 1845, p. l. 19.553, wysokie pozwolenie wykonywania swego, licznemi, pomyślnemi przykładami doświadczonego sposobu leczenia. — Ponieważ każde pismo czasowe rozszerzeniem téj wiadomości rzeczywiste dobrodziejstwo cierpiącéj ludzkości wyświadcza, przeto upraszamy szanowne redakcyje wszystkich dzienników o tém chętniejsze umieszczenie niniejszego doniesienia, im pewniéj każdy chory, czyto bogacz czy żebrak, w skutek téj wiadomości, na uwolnienie od swojéj okropnéj choroby, liczyć może, a czcigodny lekarz jedynie w uzdrowieniu swoich pacyjentów całą nagrodę upatruje. — W. G. Dunder.«

Główki królowéj Wiktoryi. W Anglii, gdzie jak wiadomo porto listowe jest bardzo nizkie i jednostajne, sprzedają na poczcie małe, czterograniaste papierki, z wyobrażeniem głowy królowéj, które przylepione na liście, tyle znaczą, co jego ofrankowanie. Aby jednéj i téj saméj nalepki po kilka razy nie używano, robi listonosz na niéj krzyż czarną farbą. Te główki wyglądają dość ładnie, a Anglicy, jak we wszystkiem dziwactwo lubią, tak i w tém oryginalność okazują, że te nalepki zbierają. Zaledwie one zaprowadzone zostały, założyli się dwaj oficerowie, kto w pewnym czasie prędzéj tyle używanych nalepek listowych zbierze, aby cały zwykły pokój niemi oblepić. Za ich przykładem poszło wnet

wielu innych, a teraz zakładają się nawet damy i żaczki szkolne. Dla tém prędszego zebrania jaknajwiększéj ilości, zbiérają siostry dla braci, przyjaciele dla przyjaciół, aż wnet poruszono wszystkie znajomości i towarzystwa, i wszczęła się powszechna gonitwa za główkami królowéj Wiktoryi. Największego kłopotu nabawiła ta manija osoby, które rozległą korespondencyję utrzymują, jakoto dyrektorów banku, znaczniejszych kupców, i t. p. Wszakże jest nawet wiele kupców, którzy na tęższamę słabość chorują. Uzbiérawszy tysiące takich papierków, oblepiają niemi swe kontuary, i jest już nie mało domów, gdzie całe obszerne sale, podobnemi obiciami są ozdobione.

Klaker w łapce. W dzień pierwszego przedstawienia okrzyczanéj komedyi »*Paris-à-tous les diables*«, przychodzi do mnie, w Paryżu, przyjaciel, i pyta, czybym nie poszedł do teatru. »Chętnie,« odrzekłem, »ale nie mam pieniędzy.« — »To nic,« ozwie się mój przyjaciel, »pójdziemy za klakierów, jeżeli masz ochotę.« — »Zgoda!« zawołałem. »W Paryżu trzeba wszystkiego próbować.« — Na to zaprowadził mię mój przyjaciel do pewnéj kawiarni, gdzie w eleganckim estaminecie, zasiadał szef wszystkich klakerów teatru *du Vaudeville*. Był on bardzo wytwornie ubrany, ufryzowany, palił prawdziwą hawanę, i utrzymywał tam formalny kontuar. Przystąpiwszy z grzecznym ukłonem oznajmiliśmy nasze życzenie. »Bardzo dobrze, moi panowie,« rzekł jenerał, spoglądając z upodobaniem na nasz porządny ubior. »Bardzo dobrze, sądzę że możecie na pierwszym balkonie miejsce zająć.« — Odpowiedzieliśmy, że się chętnie na to zgadzamy. — »A ileż chcecie panowie dać za bilety?« — »Po franku,« odrzekł mój przyjaciel. — »Oho!« zawołał jenerał. »Zastanówcież się, iż to jest pierwsze przedstawienie. Wszak zwyczajny bilet kosztuje trzy franki; a zatém możecie dać dwa.« — »Nie,« ozwie się mój przyjaciel, »nie możemy. Najwięcéj jeszcze po 10 *sous* dodamy.« — Szef klakerów spojrzał jeszcze raz uważnie po naszych sukniach, a potém spytał: »A czy macie panowie glansowne rękawiczki?« — Zamiast odpowiedzi dobył mój przyjaciel najświeższą parę z kieszeni, przyczém i jedwabna kieszonkowa chustka na widok się okazała. To rozstrzygło wszelką wątpliwość. »Ponieważ panowie macie i jedwabną chustkę i glansowne rękawiczki, spuszczę wam bilet po półtora franka. Proszę o zakład.« — Złożyliśmy zwyczajny w tym razie zakład 5ciu franków, otrzymaliśmy stosowną instrukcyję, i skoro tylko teatr otworzono, zajęliśmy najlepsze krzesła w pierwszym rzędzie. W środku balkonu, w centrum całéj linii bojowéj, siedział jenerał klakerów, na którego skinienie wszyscyśmy zważać mieli. W krótkim czasie napełniły się wszystkie miejsca. Obok mnie usiadła jakaś śliczna dziewczyna. Przyuczony w paryzkiéj galanteryi, starałem się ile możności uprzejmym się okazać. Panienka słuchała z upodobaniem, jam się przesadzał w dowcipie, i bawiliśmy się najprzyjemniéj, przezco zupełnie o klaskaniu zapomniałem. Na szczęście było dosyć klaskaczy, a dzięki ich usiłowaniom, sztuka zrobiła *furore*. Skończyło się przedstawienie, a ja zszedłem się znowu z moim przyjacielem. »I cóż?« zapytał. »Możnaż taniéj na pierwszém być przedstawieniu? Jakżeś się bawił?« — »Wyśmienicie,« odrzekłem, rozmyślając o *rendez-vous*, które moja ładna sąsiadka na przyszłą niedzielę w *jardin de plantes* mi wyznaczyła. Poczém poszliśmy do jenerała, w celu odebrania zakładu. Mój przyjaciel otrzymał natychmiast 5 franków. Ale gdy na mnie kolej przyszła, zmierzył mię jenerał zdziwionym wzrokiem i rzekł: »Wszakżeś wpan umowy nie dotrzymał.« — »Jakto?« zapytałem. — »Przyrzekłeś ogniście klakować, a nie ruszyłeś ani ręką, a przeto twoje 5 franków przepadły.« — Skrzywiłem się na ten wyrok. Jenerał odwrócił się ozięble i odszedł odemnie. Cóż było robić; miałem rzeczywiście niesłuszność. Tak zamiast oszczędzenia półtora franka, utraciłem 5 franków, i wyszedłszy w gniewie, przekląłem w istocie Paryż »*à tous les diables*!«

Odkrycie kawy zaszło, podług pisarzy tureckich, w r. 1258, przez derwisza Hadżi-Omera, który zostawszy wygnanym z klasztoru w Mokka, schronił się do jaskini w przyległéj górze. Dla zaspokojenia głodu, który dokuczać mu zaczął, zbiérał jagody, rosnące w poblizkości na krzewach nazwiskiem kaawa, i piekł takowe na ogniu. Przekonawszy się, iż są nie tylko smaczne, lecz oraz i pożywne, utłukł je i wodą rozpuścił. Tym napojem nie tylko że się przez kilka dni utrzymywał, lecz widocznie zdrowie sobie naprawił. Po niejakim czasie przyszli do jaskini inni derwisze, mniemając iż go zastaną już nieżywego, lecz ujrzeli go właśnie przy sporządzaniu sobie napoju z kaawy. Aromatyczna jéj woń podobała się ich poważnym nosom, a wróciwszy, opowiedzieli swemu przełożonemu co widzieli, czyli raczéj co zwąchali. Przełożony, uważając to za dowód osobliwszéj opieki proroka, i życząc sobie skosztować wychwalonego napoju, przywołał Hadżi-Omera do klasztoru. Gdy gubernator Mokki o tém się dowiedział, i napoju skosztował, obrócił ten wynalazek na monopol dla siebie, oświadczając, iż wszystkie krzewy kaawy są odtąd własnością rządu. Hadżi-Omer zeszedł ze świata r. 1282go, uważany powszechnie za świętego. W naszéj epoce pomników należałoby wystawić także pomnik temu wynalezcy napoju kawowego; a przynajmniéj w każdéj kawiarni powinienby wisieć jego portret.

Krajem najobfitszym w szlachtę nie są ani Niemcy, ani Węgry, ani Polska, lecz Arabija i Algiér, a w ogólności każde państwo zamieszkane przez Muzułmanów, którzy nie tylko rodową, ale jeszcze prócz tego świecką czyli wojenną, i religijną szlachtę uznają. Do szlachty rodowéj należy każdy, kto tylko wykazać może, iż od córki proroka, Fathme Zora, lub od jego wuja pochodzi. Do szlachty wojennéj liczą się potomkowie dawnych zamożnych rodzin kraju i plemienia, do którego Mohamed i jego rodzina należeli. Religijną wreszcie, czyli duchowną szlachtą są tak zwani Marabutowie, którzy gorliwie zachowywaniu przepisów koranu się poświęcają, i podług zdania ludu, wiarę mohametańską w pierwotnym stanie czystości utrzymują, a przeto też w ścisłym związku z najwyższém bóstwem zostają. Wszystkie te klasy szlacheckie mają ważne przywileja i są w największém poważaniu u ludu.

Widoki dla chirurgów. Satyryczny dziennik londyński »*Punch*« opowiada, iż częste nieszczęścia, zdarzające się na kolejach żelaznych w Anglii, spowodowały zwolenników chirurgii w tymże kraju do zarzucenia praktyki po szpitalach a szukania jéj głównie przy kolejach żelaznych.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.